

Spacer
w mroku

ALEKSANDRA JONASZ-ZAKRZEWSKA

Spacer w mroku

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Opieka wydawnicza: Marta Burzyńska

Redakcja: Patryk Białczak

Korekta językowa: Magdalena Białek

Projekt okładki: Katarzyna Pieczykolan

Skład i łamanie: Katarzyna Mróz-Jaskuła

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2023

Wydanie I

ISBN: 978-83-67691-3-69

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

*Tę książkę dedykuję Tobie, Drogi Czytelniku.
Dziękuję, że jesteś tu ze mną*

PROLOG

– Stój! Zatrzymaj się w tej chwili! – Krzyk rozniósł się echem po lesie, a twarde podeszwy butów łamały cienkie gałęzie, gdy biegł wąską ścieżką, ślizgając się o zroszoną deszczem trawę.

Las powoli zmieniał się w ciemną pieczarę spowitą gęstą mgłą, z której nocą wydostają się stworzenia znane jedynie z legend, będące postrachem dla okolicznych mieszkańców. Wilgoć wdzierała się w kosmyki jego włosów, osiadała na skórze ramion i karku, uniemożliwiając mu prawidłowe oddychanie. Drzewa ugiwały się pod jej ciężarem, z liści skapywała woda moczająca jego ubranie. W powietrzu, które przypominało opary z sauny, czuć było zapach mokrej i brudnej ziemi, pyłu oraz zgnilizny. Płuca paliły go żywym ogniem, a mięśnie zaczynały odmawiać posłuszeństwa, jednak uciekinier nie miał w planach się zatrzymać. Gnał przed siebie bez opamiętania tak szybko, że widać było jedynie ciemny zarys jego szczupłej sylwetki. Ramionami chaotycznie odgarniał gałęzie zagradzające mu drogę, dławiąc się oddechem z każdym skokiem i unikiem, który wykonał. Był jak spłoszona antylopa uciekająca przed napastnikiem.

– Przestań uciekać, ty niewdzięczny szczeniaku! – Drugi z uczestników pościgu nie ustępował, mimo powoli obzwardniającej go bezsilności. Nadwyręzał swoje ciało do granic możliwości, wążąc, czy uda mu się go dogonić. Oddech grzął mu w gardle. – Pieprzone gnojki! Zabiję was wszystkich! – Wyjął zza pasa swój kieszonkowy nóż i rozkładając go w biegu, wziął zamach, po czym rzucił nim przed siebie, licząc, że wbije się w plecy gonionego człowieka.

Ku jego zdziwieniu mężczyzna zniknął z pola widzenia w momencie, w którym nóż przeciął dzielącą ich odległość. Nie usłyszał tego charakterystycznego zduszonego dźwięku towarzyszącego upadkowi, na co bardzo liczył, rzucając w niego ostrzem. Zatrzymał się wpół kroku. Wokół zapanowała cisza, przerywana jego ciężkim i płytkim oddechem, gdy próbował uspokoić szaleńcze bicie serca.

– Pokaż się! Wyjdź! – krzyknął donośnie. Powoli wykonał kilka kroków naprzód, zbliżając się do miejsca zniknięcia uciekiniera. – Jeśli teraz wyjdiesz, jest szansa, że ci pomogę!

Próby przekupienia nie sprawiły magicznie, że wyłonił się zza drzew lub że wykonał jakikolwiek ruch. Wręcz przeciwnie, wydawać by się mogło, że cisza, która już była wystarczająco przerażająca, została wzbogacona o ten nieprzyjemny głuchy dźwięk, jaki rozchodzi się w uszach zniemacka i uniemożliwia poprawne słyszenie.

Rozglądając się dookoła i powoli stąpając po ziemi, nie wyczuł miękkości podłoża. Nagle rozległ się nieprzyjemny metaliczny dźwięk, a wraz z nim zgrzyt i trzask. Dopiero

gdy poczuł ból i spojrzął w dół, zorientował się, co się stało. Ostre zęby wnyków zacisnęły się na jego stopie, przedzierając skórę do kości i bezlitośnie ją miażdżąc. Z jego gardła wydobył się krzyk przypominający skowyt dzikiego zwierzęcia schwytanego w pułapkę, a nieprzyjemnie ciepła krew zalała jego stopę. Upadł na ziemię. Próbował uwolnić się z sideł, jednak każdy ruch, nawet najmniejszy, wywoływał dotkliwy ból. To, czego doświadczał, było najgorszym uczuciem, jakiego kiedykolwiek zaznał.

Gdy pochylał się nad poszarpaną stopą, wciąż tkwiącą sztywno we wnykach, ten, który uciekał, wyłonił się zza drzew. Jego twarz przesłaniała czarna chusta, założona na nos i zawiązana na karku. Miał na sobie czarny dres, a gdy zdjął kaptur z głowy, ukazała się jego głowa pokryta czarnymi włosami i wyraziste niebieskie oczy. Na dłoniach miał skórzane rękawiczki, które ukradł mu z samochodu.

– Zabiję cię, przysięgam na wszystko, w co wierzę, parazyty bękaracie! – Łkanie pełne bólu pozbawione było jakiegokolwiek stopnia grozy, na co ścigany zaśmiał się pod nosem. – Nie rzyj głupio! Wszystko spieprzyłeś!

– Ojej, nie masz ze sobą broni? – Jego głos był dość wysoki jak na mężczyznę. Podszedł do obezwładnionego i przekrzywił głowę, obserwując jego zmasakrowaną stopę. – I kto teraz przybiegnie ci na ratunek? Ona na pewno nie zrobi. Nie po tym, czego się dowiedziała.

– Odsuń się ode mnie, bo nie ręcę za siebie – odpowiedział, ale jego głos drżał i słowa nie były dość przekonujące. – Zostaw mnie, brzydę się tobą, gówniarzu jeden.

– To chyba ja powinienem to powiedzieć. Cały ten cyrk, który odstawiłeś, wszystkie krzywdy, jakich doświadczyliśmy przez ciebie, oni i ja przede wszystkim... – Kucnął przy nim i gdy ten chciał się na niego zamachnąć, jego ręka została zatrzymana w połowie drogi. – Chyba postradałem przez ciebie zmysły, wiesz? Znalazłem coś, co należy do ciebie. To był dobry rzut. – Młody mężczyzna pomachał kieszonkowym nożem przed oczami pokiereszowanego i zaśmiał mu się prosto w twarz, na co ten na niego splunął.

– Pieprz się.

– Wiesz, że mózg człowieka utrzymuje świadomość jeszcze przez siedem minut po śmierci? – Przetarł flegmę rękawem bluzy i odetchnął głęboko. – Nie śmieję się, ale dowiedziałem się tego z filmu o Freddym Kruegerze. Nie wiem, czy to prawda, ale lubię w to wierzyć. Kurczowe trzymanie się życia jest naprawdę podniecające. Myślałeś o tym, gdy brała ostatni oddech? Ciekawe – ciągnął młody mężczyzna spokojnym głosem – co się stanie z twoją żoną, która nosi wasze dziecko. Nieświadomość jest taka słodka... – Jego głos był niczym mokre palce dotykające styropianu, a każde słowo, które wypowiadał, powodowało u mężczyzny leżącego na ziemi łaskotanie w niemal każdym milimetrze ciała, nakazujące mu się na niego rzucić. – Może się nią zajmę?

– Ty skurwysynie... – wycodził pokiereszowany przez mocno zaciśnięte zęby, a ślina wypłynęła z kącików jego ust. – Tylko spróbuj się do niej zbliżyć!

– Ależ ja jej nawet nie dotknę – odpowiedział i pokręcił głową, wydymając dolną wargę. – Zabiją ją trauma i fakt, że przez tyle lat żyła z kłamcą. Nic nie będę musiał robić. Po tym, jak dowiedziała się o wszystkich twoich grzechach, odejdzie i wychowa dziecko sama... Albo popełni samobójstwo. – Przechylił głowę w zastanowieniu. – Wtedy upozorujesz jej wypadek, przecież potrafisz, prawda? – Uśmiechnął się, lecz wyszedł z tego grymas.

Ledwie zauważalnie musnął dłonią szyję mężczyzny i powoli się odsunął, aby obserwować sekunda po sekundzie, jak jego ofiara się wykrwawia, pólżąc na leśnej ściółce z nogą wciąż tkwiącą w pułapce na leśne zwierzęta. Dławiąc się i próbując zatamować krwotok z podeźniętego gardła, próbował coś powiedzieć, ale wyszedł z tego niezrozumiały bełkot. Wyciągnął dłonie do swojego oprawcy, którego przed chwilą sam zaciekle gonił. Jego ciało wiotczało wstrząsane spazmami przedśmiertnymi wynikającymi z szoku, oczy uciekły w tył głowy, a krew spływała na kraciastą koszulę i dżinsowe spodnie.

– To, co teraz czujesz – wyszeptał młody morderca – jest zaledwie niewielkim procentem tego, jakie cierpienie zadałeś nam wszystkim, zwłaszcza mnie. Obyś zdychał tu powoli i boleśnie.

Podniósł się, aby uciec w przeciwną stronę, gdy usłyszał charakterystyczny dźwięk przeładowywanego magazynka. Przystanął w miejscu, opuszczając bezradnie dłonie na boki, i przymknął oczy.

– Musiałem zabrać co moje, by uspokoić głosy w gło-
wie – powiedział i usłyszał za sobą, jak ktoś pociąga no-
sem. – Proszę strzelać, śmiało.

– Nie każ mi tego robić, chłopaku – rozległ się damski
głos, drżący i zduszony przez łyzy. – Jeszcze jest dla ciebie
szansa – dodała.

– Moja szansa umarła razem z nią – wyszeptał, po czym
uniósł nóż, którym przed chwilą poderżnął mężczyźnie
gardło, na wysokość swojej klatki piersiowej.

Zamknął oczy, zaciskając powieki, pod którymi zaraz
zobaczył jej uśmiechniętą twarz. Wyciągnął ramiona przed
siebie, trzymając mocno dłonie na rękojeści noża. Wziął
zamach i wstrzymał powietrze w płucach. Czas w tamtym
momencie zwolnił jeszcze bardziej niż dotychczas.

– Niiiii!!! – Kobięcy głos poniósł się echem po lesie,
gdy ostrze noża wbiło się między żebra chłopaka.

ROZDZIAŁ 1

– Tymon! Spóźnimy się! – krzyknęła dziewczyna przegładająca się w podłużnym lustrze w przedpokoju. Jej biała sukienka, długa do kostek, powiewała, gdy obracała się na boki. Biel podkreślała subtelnie rysy pociągłej buzi, a przy okazji eksponowała piękną opalenizną zapewnioną przez gorące słońce podczas pracy w polu.

– Wyglądasz cudownie. – Młody chłopak zszedł na dół drewnianymi schodami i stanął za nią przy lustrze, obejmując ją delikatnie w talii. – Nie będzie ci gorąco? Mamy kawałek do przejścia piechotą.

Lato tego roku było wyjątkowo upalne, a ukojenie przynosiły jedynie chłodne noce, gdy palące słońce ustępowało miejsca powiewom wiatru pachnącego lasem. Wtedy właśnie mieszkańcy urodziwego Werterowa wychodzili na spacer, aby odetchnąć lżejszym powietrzem. Do późnych godzin nocnych można było spotkać w parku znajomych i bliskich.

– Chcesz być piękna, cierp – zaśmiała się dziewczyna, po czym obróciła na palcach i ucałowała chłopaka w policzek. – Chodź już. – Złapała jego rękę i wyciągnęła go z domu, a gdy wyszli na zewnątrz, uderzyło ich

gorące, duszne powietrze. Słońce wciąż grzało promieniami, mimo że chyliło się ku zachodowi. Powoli nastawał zmierzch.

Zaczynał się okres wakacyjnego karnawału, który miał potrwać aż do rozpoczęcia roku szkolnego. W specjalnie wyznaczonym do tego miejscu, na dawno nieużytkowanym polu kempingowym, zostały już rozstawione maszynowe konstrukcje kolejek dla dorosłych, dmuchane zamki dla dzieci i namioty cyrkowe. Pojawiły się też budki z jedzeniem, miejsca do gier ręcznych i stoiska z pamiątkami, a wszystko ozdobiono kolorowymi lampkami i nadmuchiwanymi lalkami z wizerunkami klaunów. Pomysł wyszedł z inicjatywy burmistrza, który podczas jednego z posiedzeń rady gminy stwierdził, że w miasteczku brakuje rozrywki. I tak od przeszło pięciu lat każdego roku organizowano karnawał, co bardzo podobało się mieszkańcom i zawsze przyciągało wiele osób z okolicznych wiosek i pobliskich miast. W tym roku park rozrywki miał rozrosnąć się o park linowy i dom strachów, co bardzo spodobało się młodzieży.

To małe miasteczko w województwie lubelskim, liczące sobie niespełna cztery tysiące mieszkańców, było niesłychanie cichym i spokojnym miejscem. Mało kto o nim wiedział, jednak tym, którzy tu przyjeżdżali, towarzyszyło uczucie odrealnienia. Czas tutaj nieco zwalniał, ludzie nie skupiali się na nadążaniu za postępem technologii i nowoczesnością, bo najważniejsze były spotkania z przyjaciółmi, wspólne biesiady, okolicznościowe imprezy, a więc dobrze

spożytkowany czas wolny. W miasteczku panowała aura wiejskiej swobody i relaksu. Nikt tutaj nie gonił za pracą, większość osób zatrudnionych w lokalach biurowych nigdy nie narzekała na swoje obowiązki i nie zgłaszała przemęczenia czy wyczerpania psychicznego. Na ulicach próżno było szukać najnowszych modeli samochodów czy nowoczesnych mieszkań, a domy były utrzymane w klasycznym budownictwie lat dziewięćdziesiątych. Młodzież uczyła się w kompleksie składającym się ze szkoły podstawowej i liceum, młodsze dzieci uczęszczały zaś do mieszczącego się zaledwie kilka budynków dalej żłobka połączonego z przedszkolem. Wszyscy się tutaj znali i od szesnastu lat nie odnotowano w tym miejscu żadnego przestępstwa. Można powiedzieć, że było tu wręcz utopijnie.

– Na pewno chcesz iść tędy? – Tymon zatrzymał dziewczynę, gdy ta skierowała się do lasu, aby przeciąć drogę i szybciej dotrzeć do karczmy, gdzie czekali na nich znajomi. Widok wysokich drzew i wpadających przez nie łun światła przyprawiał go o dreszcze, zamiast napawać zachwytem. Czuł na plecach nieprzyjemny chłód.

– Ty też? Weź, przestań, nic się nie stanie. Ktoś ci nakładł do łba jakichś durnot – odpowiedziała i machnęła ręką, po czym pociągnęła go w stronę lasu, jednak jego nogi jakby wrosły w ziemię. – No bez jaj, Tymon. Chyba się nie boisz?

– Nie, po prostu wolę iść normalną trasą. – Chłopak nie wydawał się przestraszony, lecz ostrożny i zdystansowany. – Po co kusić los? Już i tak zabraniają nam o tym

mówić, odkąd zaczęliśmy w tym grzebać na nowo. Zapomniałaś już, co powiedziała policja? Rozdrapywanie starych ran nigdy nie kończy się dobrze, Gaja. Wyobraź sobie, co będzie, gdy ktoś nas tu zobaczy. – Spojrzał na nią z wymownym wyrazem twarzy. – Albo co gorsza, jak spotkamy jego. Sama wiesz, że wciąż tamtędy chodzi i jej szuka. Zresztą, nie dyskutuj ze mną i chodź. – Złapał ją za rękę i pociągnął w przeciwną stronę.

Dla jednego człowieka ta wiejsko-miejska sielanka zakończyła się niespełna pięć lat temu, gdy w niewyjaśnionych okolicznościach w lasku przy zalewie zaginęła jego dziesięcioletnia córka. Wyszła na spacer ze swoim szczeniakiem, którego dostała na świętowane przed kilkoma dniami urodziny. Pies został odnaleziony po tygodniu, ledwo żywy, przykryty prześcieradłem i schowany w dole pod drzewem, wyżłobionym przez spływającą wodę, jednak dziewczynki z nim nie było. Wyglądało to tak, jakby dosłownie rozplynęła się w powietrzu, upuszczając smycz psa. Nie pozostał po niej żaden ślad, nawet zapach. Zagorzała akcja poszukiwawcza, w którą zaangażowało się całe miasteczko, trwała ponad miesiąc. W poszukiwania zaangażowano psy policyjne i nurków, w razie gdyby na dnie zbiornika wodnego znajdującego się w pobliżu lasku miało spoczywać jej ciało. Początkowo uznawano dziewczynkę za zaginioną, później spekulowano na temat jej uprowadzenia, aż w końcu wysunięto podejrzania o porwanie rodzicielskie. Nic z tego się jednak nie potwierdziło.

Z powodu braku postępu w sprawie śledztwo umorzono po niespełna roku. Policja wydała oświadczenie, że dziewczynka najprawdopodobniej nie żyje, a szanse na odnalezienie jej całej i zdrowej są niemal zerowe. Wybuchł skandal w miasteczku, rozgorzały protesty i bunt przeciwko działaniom policji oraz władzy burmistrza. Mieszkańcy nie mogli przeżyć tego zaginięcia. Z biegiem lat sprawa powoli cichła, ale ojciec dziewczynki do chwili obecnej nie zaprzestał poszukiwań. Został z tym sam, wspierany jedynie przez pierworodnego syna. Żona mężczyzny wyprowadziła się z Werterowa, nie mogąc znieść widoku jego rozpaczony – nie chciała przeżywać tej tragedii każdego dnia na nowo. Nikt nie słyszał o niej od czasu wyprowadzki, kobieta nie utrzymywała kontaktu nawet ze swoim synem. Czasami podczas biesiad, gdy komuś niechcący zdarzyło się wspomnieć imię dziecka, na długo następowała przejmująca cisza. Ludzie nie lubili o tym rozmawiać. Woleli raczej udawać, że sprawa odeszła w zapomnienie.

– Jesteś przewrażliwiony, wyluzuj trochę. – Dziewczyna pozostawała nieugięta, nawet gdy już siedzieli razem ze znajomymi w karczmie i pili zimne piwo. – Kiedy to się stało, byliśmy mali. Dorastaliśmy z tą historią, przyczepiła się do nas jak łątka, jakiś cholerny znak rozpoznawczy. Ktokolwiek przyjedzie do tego miasta, wie, że coś ukrywamy. Mam się bać pójść do lasu, bo...?

– Gaja... – Chłopak uciął rozmowę gwałtownym ruchem ręki, używając jej pełnego imienia, a nie czułego

zdrobnienia. – Przestań. – Upił łyk niskoprocentowego napoju i westchnął.

Dziewczyna wzięła ze stołu swój kufel i odchyliła się na oparcie ławy, kręcąc z dezaprobatą głową. Spojrzała przez ramię na swoich przyjaciół, zamawiających dla nich jedzenie przy barze.

Karczma, w której się znajdowali, nosiła zawadiacką nazwę „Rozbójnik” i była prowadzona przez sympatyczną panią Helenę, która jako pierwsza wpadła na pomysł wybudowania w Werterowie miejsca, w którym można było dobrze zjeść, wyspać się i zrelaksować w doborowym towarzystwie. Do tej pory żadna restauracja, pizzeria czy jadalnia nie przebiła tego miejsca i nie przyciągała tak wielu ludzi. Duża sala biesiadna z ławami ustawionymi w rzędach przy ścianach, bufet z własnoręcznie wędzonym mięsem, piec, w którym opalano regionalne placki, i bar obfitujący w różne alkohole, przy którym zawsze ktoś urzędował. Na piętrze znajdowały się pokoje sypialniane, a na zewnątrz taras z hamakami zawieszonymi na dużych balach z drewna i dodatkowymi stolikami. Od wejścia gości witały polne kwiaty, w które opleciony był sztyl z nazwą karczmy, a po przekroczeniu progu czuć było charakterystyczny zapach domowego jedzenia i dusznego, lecz przyjemnego i kojarzącego się z porankiem na wsi powietrza. Karczma była najczęściej odwiedzanym miejscem przez mieszkańców, i to nie tylko przez wzgląd na popularność oraz wysmienite jedzenie, lecz także z racji faktu domowej gościnności.

– Dobra, dla nas pierogi, dla chłopów śledzik. – Młoda, szczupła brunetka wślizgnęła się na ławę obok Gai, poprawiając swoją czarną, żorzetową sukienkę z kwiecistymi zdobieniami. Odetchnęła i spojrzała na zmartwionego Tymona, rozglądającego się po wnętrzu karczmy, i Gaję, wpatrzoną w kufel z piwem, jakby miała zamiar wywróżyć z niego swoją przyszłość.

– Matko, nie było nas raptem kilka minut, a atmosfera tu tak zgęstniała, że można ją nożem kroić, przysięgam. Co się, do diabła, stało? – zapytała i pochyliła się do przyjaciółki, łapiąc ją za nadgarstek.

– Jego się zapytaj. Nawet nie można sobie skrócić drogi przez ten cholerny las, bo ciąży nad nim jakaś durna kłątwa – odpowiedziała blondynka w białej sukience, sącząc swoje piwo. – Mam już dość tego pieprzonego gówna! Niby nikt o tym nie rozmawia, a jednak każdy o tym myśli i ciągle tam jest. Gdy coś się na ten temat powie, rozmowa się ucina, jakbyś rzucił zły urok czy coś. I jeszcze ten facet... mógłby zniknąć, jak jego żona. Byłby święty spokój, a tak chodzi i sieje postrach, rozpowiadając potajemnie jakieś teorie spiskowe. Rzygać się chce.

– Skończysz wreszcie? Powiedziałem ci już... – Tymon zerknął na swoją dziewczynę spod byka i westchnął, na co ona prychnęła. – Jeśli nie chcesz, żeby ktoś tutaj zamknął ci usta, bo mówisz o tym głośno, przestań.

– Nie mów do mnie takim tonem. I nie, nie boję się nikogo, a jeśli ktoś ma ze mną jakiś problem, niech przyjdzie i mi o tym powie. A z naszej dwójki to ty powinienes

odpuścić, wiesz? To było pięć lat temu! Jasne, chciałam trochę w tym pogrzebać i to, co się wydarzyło, było moim pomysłem, ale nie żałuję tego i nie chcę, żeby historia tego dziecka psuła mi wszystko, co tu zbudowałam. Kurwa mać, nawet jej nie znaleźliśmy, a nie możemy przez nią żyć!

Gaja nie miała w zwyczaju przeklinać, co wprawilo Malwinę w niemałe osłupienie, gdy zobaczyła, jak jej prawie siostra się oburzyła i podniosła nieco głos, pochylając się do swojego partnera.

– Jezu, uspokójcie się oboje, proszę. Wiedziałam, że ta sprawa was gryzie, ale nie miałam pojęcia jak bardzo. Ja też nie lubię wracać myślami do tamtych chwil, ale takie kłótnie w niczym wam nie pomogą, kochani, naprawdę – westchnęła.

– Jesteście oboje poirytowani, rozumiem. Ale nie pozwólmy, żeby to zepsuło nam kolację, co? Zaraz przyjdzie Grzesiek i wołałabym, żebyście przy nim o tym nie rozmawiali. Ogarnijcie się, jeśli nie dla mnie, to dla niego. On wciąż bardzo to przeżywa. – Brunetka spojrzała na nich błagalnym wzrokiem, a jej brązowe, niemalże czarne jak węgiel oczy, tak duże jak u postaci z bajek, były bardzo przekonujące.

Gaja uśmiechnęła się do niej i pokiwała głową, a Tymon wyjął z kieszeni swoich beżowych spodenek paczkę papierosów z zapalniczką w środku.

– Idę na fajkę – oznajmił i odszedł od stołu, kierując się do wyjścia. – Na litość boską... – szepnął pod nosem.

Kątem oka zauważył Grzegorza wracającego z baru z drinkiem w jednej ręce i piwem w drugiej. Popchnął drzwi wejściowe, które były zamontowane na wzór westernowych, rodem z Dzikiego Zachodu. Odpalił papierosa i zaciągając się dymem, wyszedł przed karczmę. Z jego gardła wydobyło się ciężkie westchnienie. Zszedł po kilku schodkach i zbliżył się do jednego z aut stojących na niewielkim parkingu, w rzędzie obok innych samochodów, motocykli i rowerów. Oparł się o maskę czarnego mercedesa W124 i wyjął z kieszeni telefon. Co chwila, gdy przeglądał nieodczytane wiadomości i wypalał kolejną dawkę zabójczej nikotyny, mijali go młodzi ludzie śmiejący się głośno i zmierzający ku karczmie. Słyszał rozmowy dorosłych idących bulwarem. Nadchodziła jego ulubiona pora dnia, w której noc nie spowiła jeszcze miasteczka w całości, panował półmrok, a pomarańczowe promienie słońca rzucały ostatnie blade światło. Tymon czuł wtedy, jakoby już i tak nieco opóźnione w czasie miasto zwalniało jeszcze bardziej, a powietrze, mimo większej dozy świeżości nocy, stawało się gęstsze niż za dnia. Wielokrotnie opowiadał Gai, że nie czuje się za dobrze wieczorami. Jednego razu, gdy dość późnym wieczorem wracał z treningu koszykówki, miał nieodparte wrażenie, że ktoś lub coś nie spuszcza z niego wzroku. Ona ignorowała jego spekulacje, argumentując to przewrażliwieniem związanym z zaginięciem dziewczynki przed kilkoma laty.

– Nie za dobrze ci? Złaż mi z auta, frajerze. – Tymon odwrócił się na dźwięk znajomego głosu, zgniatając trampkiem niedopałek papierosa.

Zbliżył się do niego wysoki chłopak ubrany w białą koszulkę, czarne materiałowe spodnie i kraciastą koszulę z podwiniętymi rękawami. Jego znakiem rozpoznawczym były niewiarygodnie niebieskie oczy, które w połączeniu z połyskującymi blaskiem czarnymi włosami w nieładzie sprawiały wrażenie kryształowych.

– Bolo, mógłbyś umyć tę kolumbrynę, bo wstyd się w niej pokazać, a co dopiero zabrać nią laskę na kino samochodowe. – Jego pseudonim pochodził od Bonifacego, imienia, którego z jednej strony bardzo się wstydził, a z drugiej nie miał wystarczającej motywacji, by je zmienić. Nie lubił, gdy mówiono do niego po imieniu, sam więc wymyślił tę skrótową i nieośmieszającą go wersję, która większości osób przypadła do gustu.

– Odwal się od mojego auta. – Bolo trącił go w ramię i sam wyciągnął z kieszeni nieco za dużych spodni paczkę papierosów. – Co tak tu sterczysz? Gdzie twoja? – zapytał, podobnie jak Tymon delektując się pierwszym wdechem świeżo odpalonego papierosa.

– Siedzi w środku z Malwiną i Grześkiem – odpowiedział i westchnął, ponownie oparłszy się o maskę samochodu.

Bolo podszedł i usiadł obok niego, po czym spojrzał na wejście do karczmy.

– Wkurwiła cię czymś? Czy się pożarliście? – zapytał serdeczny kolega, kątem oka lustrując Tymona. – Ostatnio ciągle chodzisz przybity. Trochę mi się to nie podoba, szczerze mówiąc. Z tą laską jest coś nie tak, chłopie.

– Daj spokój, to nic takiego. Wkurza się na mnie, że nie chcę więcej grzebać w sprawie zaginięcia córki Poturskiego – westchnął i zabrał papierosa z palców Bola, by zaciągnąć się ponownie, mimo że przed chwilą zgasił swojego. – Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że im dalej w to wchodzę, tym więcej osób nas obserwuje. Zaczyna mi już odbijać.

– Stary, gdybyś tylko powiedział jej to, co mnie, na pewno jej podejście by się zmieniło. Musisz z nią porozmawiać, Tymon. – Bolo wyciągnął z tylnej kieszeni koszuli kluczyki do swojego mercedesa i nerwowo zaczęła obracać je w palcach. – Wracasz tam do nich czy chcesz, żebym odwiózł cię do ojca?

– Chyba bym się obudził z wyciętą nerką, gdybym teraz tam nie wrócił – prychnął i oddał papierosa. – Albo idziesz ze mną, albo widzimy się jutro, pod warunkiem że ona nie zabije mnie w drodze powrotnej.

– Już i tak za mną nie przepada, a tobie radzę się nad tym wszystkim zastanowić. – Bolo przesunął się po masce samochodu, podszedł do drzwi kierowcy i otworzył je kluczykiem. Zaskrzypiały charakterystycznie i z wnętrza auta wydobył się zapach starej skóry. – Trzymaj się, chłopie. Daj znać jutro, że żyjesz.

– Swoją drogą, musimy strzelić piwko na karnawale.

Bolo wychylił się jeszcze zza szyby od drzwi kierowcy, kiwnął porozumiewawczo głową, po czym odjechał powoli z parkingu i nie było osoby przechadzającej się bulwarami, która nie spojrzałaby na jego samochód.

Tymon pomachał koledze na pożegnanie, schował dłoń w kieszeniach i skierował się do karczmy, skupiając się bardziej na dźwięku silnika samochodu Bola niż na potencjalnej konfrontacji z czekającą w środku dziewczyną.

Tymczasem w karczmie rozbrzmiewała już muzyka biesiadna. Miejsce wypełniło się ludźmi, którzy z drinkami i piwem w rękach kołysali się delikatnie przy swoich ławach. Kelnerki noszące krótkie białe sukienki z kwiecistym haftem, z wiankami na głowach wczepionymi we włosy i spletanymi w warkocze przywodziły na myśl Słowianki. Jedynym elementem ich ubioru, który nieco odbiegał od ludowego, były białe trampki. Mały w sobie element nowoczesności, który jednak nie zaburzał całego obrazu, lecz dodawał mu specyficznego akcentu. Kobiety lawirowały między stołami, niosąc na tackach talerze z jedzeniem oraz napoje.

Tymon popchnął drzwi wejściowe i uderzyło go gorące powietrze. Niedziwne, że ludzie tam zgromadzeni wachlowali się kartami menu i przecierali czoła serwetkami. Poszedł do swoich znajomych i dziewczyny, by ponownie zająć miejsce, z którego przed chwilą wyszedł.

– Spotkałem Bola na parkingu i trochę pogadaliśmy. – Wziął w dłoń swój kufel z piwem i patrząc na smutno uśmiechniętą Gaję, upił łyk. – Przepraszam, że byłem niemiły.

Dziewczyna mrugnęła do niego porozumiewawczo i wróciła do rozmowy z koleżanką, dając mu tym samym znać, że się nie gniewa, jednak Tymon i tak wiedział, że w drodze powrotnej czeka ich rozmowa. Nie czuł się z tego powodu zadowolony, zwłaszcza że ona nie przeprosiła go za swoją złość.

– Jak myślisz, przyjedzie jakaś banda nieogarniętych bachorów? – zapytał Grzesiek, szczupły blondyn z brązowymi oczami i nierównomiernym zarostem.

– Oby nie było powtórki sprzed roku. Nie zamierzam znowu pomagać w wyciąganiu czyjegoś łba z muszli klozetowej albo odpiłowywać gałęzi, bo się ktoś zaczepił i wisi głową w dół – odpowiedział Tymon i zaśmiał się szczerze. – Swoją drogą, kiedy mają zjechać?

– Nie wiem, może nawet zaraz. – Grzesiek rozejrzał się dookoła i wychylił nieco głowę, aby spojrzeć przez okna na parking w poszukiwaniu autokaru z dziećmi.

W Werterowie organizowano coroczne obozy rekreacyjne dla rodziców i maluchów z przedszkoli oraz żłobków. Na czas wakacyjny uruchamiano także zieloną szkołę dla uczniów szkół podstawowych. Od niedawna dzieci mogły korzystać z miejskich atrakcji w postaci karnawałowego kompleksu rozrywkowego, powstałego z inicjatywy burmistrza. Przyciągało to coraz więcej grup obozowiczów, a także uczniów z okolicznych miast i wsi. Wszyscy stacjonowali w domkach niedaleko lasu, które zostały wybudowane w związku ze zbyt dużą liczbą chętnych – brakowało łóżek polowych w szkołach, w których przez

większość turnusów przebywały dzieci. W tym roku do Werterowa przyjechały dwie klasy ze szkoły podstawowej z Miłkowa, małego miasta nieopodal. Zielona szkoła jak co roku pozostawała otwarta także dla lokalnych uczniów oraz młodzieży.

– Moja mama chodzi teraz co wieczór sprzątać domki, dziś pomagałam jej składać świeżą pościel. Dzieciaki i tak wszystko zniszczą, zwłaszcza jeśli mają tam być nasi. To dzicz, wystarczy spojrzeć na ich zachowanie na korytarzu w szkole. Jak odbieram swoją siostrę z lekcji, mam wrażenie, że weszłam do zoo pełnego dzikich i nieoswojonych zwierząt. – Malwina pokręciła głową z dezaprobatą i wymownie cmoknęła, trzymając między palcami słomkę od drinka.

– Ciekawe, czy tym razem wynajmą zespół ratunkowy. W końcu otworzyli park linowy, nie wiadomo, co tym bachorom strzeli do głowy.

– Właśnie, może chcecie się wybrać na otwarcie? To już w tę sobotę – zapytał Grzesiek i spojrzał po znajomych. – Nie wiem jak wy, ale ja mam megaochotę na ten dom strachu.

– To gówno, a nie dom strachów – zaśmiała się Gaja, unosząc pogardliwie brwi. – Ale dobrze, Grzesiu, pójdziemy, żebyś mógł sobie trochę pokrzyczeć jak dziewczynka.

– Weź spadaj, co... – Grzegorz pokazał koleżance środkowy palec, naśladując jej szyderczy uśmiech, i zwrócił się do Tymona, który zaciskał palce na srebrnej obrączce z wygrawerowanymi krzyżami. – A ty na pewno chcesz tam iść?

– Czy to nie jest dla was trochę ironiczne, że oficjalne otwarcie tego parku rozrywki zaplanowano na czwartego lipca? Niby małe miasto, a jednak trochę Stany Zjednoczone dla naszego burka – wtrąciła Malwina, po czym prychnęła i upiła łyk swojego kolorowego drinka.

– Tymon? – Gaja spojrzała pytająco na swojego chłopaka, który nie odpowiedział na pytanie.

– Co? – Potrząsnął głową, jakby chciał wyrwać się z nieprzyjemnego snu. – Tak, jasne, pójdziemy. Gdzie to jedzenie?

Jak na zawołanie zza rogu wyłoniła się szczupła, wysoka kelnerka z szerokim uśmiechem, niosąca w ręku drewnianą tacę z talerzami. Postawiła je przed gośćmi karczmy, nie pytając, co jest dla kogo. Znała młodych ludzi, a oni znali ją. Wymienili porozumiewawcze uśmiechy i kobieta wróciła do swoich obowiązków – wślizgnęła się za bar i zaczęła przyjmować kolejne zamówienia. Tymon, Gaja, Malwina i Grzegorz prowadzili spokojną konwersację, delektując się jedzeniem. Atmosfera nieco się rozluźniła, a przyczynił się do tego wypity alkohol. Nie tak dawno świętowali swoje osiemnaste urodziny, praktycznie jedno po drugim. Tymon był najstarszy, licząc na miesiące, a Gaja najmłodsza. Brakowało jeszcze Klary i Franka, którzy wyjechali ze swoim rodzeństwem na wakacje do Krakowa. Tak, byłiby w pełnym składzie. To spotkanie, zorganizowane z racji zakończenia roku szkolnego przed kilkoma dniami, miało stanowić dla nich symboliczne rozpoczęcie wakacji.

Wieczór minął przyjemnie. Przez karczmę przewinęło się mnóstwo ludzi, a towarzystwo biesiadujące przy większych ławach musiało zostać kulturalnie wyproszone przez obsługę, ponieważ zbliżała się pora zamknięcia – północ. Tymon i Gaja pożegnali się z przyjaciółmi i właścicielką karczmy, która każdego dnia zostawała w niej aż do końca, i postanowili sobie zrobić dłuższy spacer, zanim rozejdą się do swoich domów.

– Nie zamierzasz mnie przeprosić? – Tymon przerwał milczenie, gdy szli akurat przez bulwar.

Noc była gorąca, a powietrze ciężkie. Mrok rozpraszały jedynie latarnie, a ciszę przerywały dźwięki budzących się do życia nocnych zwierząt, a nie głośnych samochodów, do których przywykli mieszkańcy dużych miast. Werterowo nocą zamierało, aby obudzić się do życia już o świcie. Dla kogoś przyjezdnego atmosfera była podobna do tej na wsiach, gdzie chodzi się spać z kurami, a wstaje ze wschodem słońca. Brakowało tylko kur i wiejskich chatek.

– Ja? – Gaja spojrzała na chłopaka, trzymając jego dłoń w swojej. – A to niby za co?

– W takim razie nieważne. – W głosie chłopaka dało się wyczuć rozczarowanie, a wrażenie to spotęgowało jego ciężkie westchnięcie. Dziewczyna przystanęła i skrzyżowała ramiona na piersi. – Gaja, nie chcę się z tobą kłócić, serio. Chodźmy do domu i ochłońmy, bo jak teraz zaczniemy dyskutować, to nie wyjdzie z tego nic dobrego. Mieliśmy taki fajny wieczór, nie psujmy tego.

– O co ci znowu chodzi? – zapytała i wbiła w niego chłodne spojrzenie. – Coś się nagle taki delikatny zrobił?

– Dlaczego nie uszanujesz tego, co czuję? – Tymon rozłożył ręce w geście bezradności. – Wiem, że ta sprawa to już prehistoria, ale odkąd zaczęliśmy w niej grzebać, nie potrafię wyrzucić tego wszystkiego z głowy. Prześlada mnie to. Twoje zachowanie mi w tym nie pomaga, wiesz?

– Ale jakie zachowanie? Przecież ja tylko powiedziałam, jakie to niedorzeczne, że jako osiemnastolatek boisz się przechodzić przez las, w którym pięć lat temu zaginęło dziecko, bo wierzysz w te wszystkie historie opowiadane przez ludzi. – Gaja pozostawała nieugięta.

– Szlag mnie zaraz trafi! To nie są jakieś głupie zabo-
bony, do cholery! – Tymon podniósł głos i zaraz przyło-
żył dłonie do twarzy, aby się uspokoić. Wiedział, że jego
dziewczyna bardzo nie lubi, gdy ktoś krzyczy. – Możesz
choć przez chwilę przestać patrzeć na to swoimi kry-
tycznymi oczami?

– Jak masz tak ze mną rozmawiać, to wolę chyba wrócić
do domu sama – odpowiedziała i już chciała odejść, gdy
zatrzymał ją mocny chwyt za przedramię. Dziewczyna od-
wróciła się zaskoczona.

– Nie pozwolę ci chodzić samej po nocy. – Spojrzenie
Tymona było pełne złości i niezadowolenia.

– Nie będziesz mi rozkazywał. – Gaja wyrwała ramię
z uścisku chłopaka i się odsunęła.

– Dobra, chcesz, żebym powiedział ci prawdę?! – Chłopak tym razem krzyknął, nie hamując swoich emocji. – Naprawdę właśnie tego chcesz? Chcesz zaspokoić swoją chorą ciekawość?!

– Nic już od ciebie nie chcę, wiesz? – W jej oczach błysnęły łzy. – Zmieniłeś się, nie jesteś już tą samą osobą co przed naszą wycieczką do lasku. Mój Tymon tam został, na tej pieprzonej drodze, a na jego miejsce przyszedł mężczyzna, którego nie znam i nie chcę poznawać. Boję się go.

– Gajka, przecież wiesz, że bym cię nie skrzywdził, nie mów tak nawet. Ja naprawdę chcę powiedzieć ci prawdę. – Chłopak chciał złapać jej dłonie, jednak ona była szybsza i uniknęła zbliżenia. – Nie odpychaj mnie, nie rób mi tego.

– W takim razie jak ty miałaś czelność odepchnąć mnie? – zapytała. – Byliśmy w tym razem, cała nasza grupa. Nikogo jakoś nie obeszło to, co się stało, a ciebie jakby coś opętało. Zamykasz się w sobie, znikasz gdzieś myślami, nie zbliżasz się do mnie. Nie pamiętam, kiedy mnie ostatni raz sam z siebie pocałowałeś! Gdy mnie obejmujesz, nie czuję, aby to były twoje ramiona. Czuję się przy tobie tak obco. Nie mogę tak dłużej, nie zniosę tego.

– Kochanie, proszę. – Tymonowi załamał się głos.

– Przestań, nie mów tak do mnie. – Po jej policzkach spłynęły słone krople łez, grube i pełne cierpienia, zostawiając mokrą strużkę, lśniąca w blasku nocy. – Zróbmy sobie chwilę przerwy. Może w tym czasie odnajdziesz swojego Tymona i spróbujemy odbudować to, co straciliśmy.

– Ale...

– Nie chcę cię zostawiać. Chcę, żebyś przyprowadził mi z powrotem mężczyznę, którego kocham. – Gaja otarła wierzchem dłoni łzy, po czym się wyprostowała, biorąc głęboki wdech. Patrzyła w jego bursztynowe oczy, na gładką buzię i gęstą czuprynę w nieładzie. W jej wnętrzu rozgrywała się walka między tym, czego pragnęła, co wiedziała, a tym, czego nie mogła mieć.

– Pozwolisz chociaż, że odprowadzę cię do domu? – wyszeptał i wbił wzrok we własne stopy, jakby nie mogąc patrzeć na swoją dziewczynę. – Chcę, żebyś była bezpieczna. Nawet podczas tej przerwy nie przestanę cię chronić, Gaja.

Dziewczyna wymamrotała cicho, że się zgadza, i zaczęła iść powolnym krokiem w stronę bloku na ulicy Herberta – do małego, niespełna sześćdziesięciometrowego mieszkania, w którym mieszkała z rodzicami i starszą siostrą, mającą niedługo wyjechać na studia do Warszawy.

Nie wyciągnęła ręki do chłopaka, zachowując dystans. Szli całą drogę w milczeniu, aż do klatki schodowej bloku Gai, do ostatniego spojrzenia przez małą szybkę oddzielających ich od siebie drzwi.

Tymon wrócił do swojego domu sam, do pustego miejsca, zżerany wyrzutami sumienia – przez całą drogę słuchał głosów w swojej głowie. Tej nocy dwie dusze jego miasteczka cierpiały, i to mimo zażyłej, wzajemnej miłości, katowane przez historię, która dawno powinna odejść w zapomnienie.